

4 1985,089

JACEK BIEREZIN

WAM

Poezje

INSTYTUT

PARYZ



LITERACKI

1974

JACK BOSTON

W A M
W A M
W A M

W A M
W A M
W A M

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 249

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600-MAISONS-LAFFITTE

JACEK BIEREZIN

W A M

Poezje

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1974

JACOB BIERZIN

MAW



ant.

II 1.985.033

© COPYRIGHT BY INSTITUT LITTÉRAIRE, S.A.R.L., PARIS 1974

1974 N 1694/1

SŁOWO WSTĘPNE

Ci, którzy to widzieli, pamiętają zapewne: w czasie studenckich demonstracji w marcu 1968 roku ponad głowami wzburzonego tłumu wykwitwały — w każdym chyba większym mieście Polski — płomienie. Palono gazety. Skandowany okrzyk „PRASA KŁAMIE” i podpalanie gazet — to były wówczas manifestacje jednomyślne i jednoznaczne. Wielu spośród nas nie miało sprecyzowanych poglądów politycznych, wielu w tych pierwszych dniach nie orientowało się jeszcze, co właściwie dzieje się w Polsce i przeciw czemu należy protestować — ale to jedno nie ulegało wątpliwości. Prasa kłamała. Nie wyzysk ekonomiczny, nie brak swobód obywatelskich, nie sprzeczności ustrojowe oburzały nas wówczas najbardziej — nas, dwudziestolatków, wchodzących dopiero w dorosłe i świadome życie — ale właśnie kłamstwo, rozpanoszony wokół i powielany w milionach egzemplarzy fałsz. To bowiem najłatwiej było dostrzec. Że prasa, radio, telewizja nie mówią c a ł e j prawdy, wiedziało do tej pory nawet dziecko; ale w marcu prawda została z pedantyczną skrupulatnością zastąpiona swoim dokładnym odwróceniem, a ponieważ dotyczyło to nas, naszych myśli i poglądów, naszych słów i zachowań — bolało to podwójnie. Po raz pierwszy w życiu mieliśmy okazję przekonać się, jak ważną jest rzeczą trywialne przekonanie, że istnieje coś takiego jak prawda obiektywna — i z jaką niepojętą łatwością ta prawda obiektywna, widzialna i namacalna, może zostać po prostu i bez odwołania usunięta sprzed ludzkich oczu, zastąpiona ponurą brednią „środków masowego przekazu”. Dwu-

dziesięcioletni chłopak, który dziś ujmował się za zdjętymi ze sceny „Dziadami” a nazajutrz czytał o sobie, że jest syjonistycznym agentem, dwudziestoletnia dziewczyna, dzisiaj pobita milicyjną pałką a następnego dnia umieszczona na liście bandziorów rozbijających szyby — nie mieli przecież możliwości obrony. Ich prawda, choćby i wykrzyczana, nie mogła zagłuszyć propagandowej tuby. Co pozostawało? Tylko bezsilny gest ręki, wymachującej gazetową pochodnią. To był kaganek oświaty, który rozjaśnił w głowach temu pokoleniu.

W blasku podpalonej gazety dostrzegła bowiem ta generacja rzeczy, które właśnie wtedy, w marcu, objawiły się z całą nieprzewidywaną wyrazistością. Dostrzegła drążące społeczeństwo konflikty i kompleksy, rozładowujące się w obłądnych przejawach plemiennej ksenofobii. Dostrzegła niepojętą moc dogmatu, przy całej swojej absurdalności zawsze pociągającego za sobą tłumy, jeśli tylko mogą w nim one odnaleźć zwolnienie od indywidualnej odpowiedzialności i zezwolenie na bezpieczną bezmyślność. Przekonała się, że wszystkie ideały, w których duchu nas wychowywano przez dwadzieścia kilka lat istnienia Ludowej Ojczyzny, mogą — gdy zajdzie potrzeba — zostać odrzucone jak niepotrzebny śmieć. I zdała sobie również sprawę ta generacja z niebezpiecznej potęgi słowa, zdolnego do przeszmyglowania w ludzkie umysły wszelkiej bzdury i wszelkiego świństwa.

Właśnie: słowo. Wiele spośród tych rąk, które w marcu trzymały podpalone gazety, sięgnęło wkrótce po pióro. W tym samym celu: aby słowu kłamliwemu choć potężnemu przeciwstawić słowo bezsilne może, ale prawdziwe. Marzec 1968 był momentem narodzin nowego okresu we współczesnej literaturze, więcej nawet: w kulturze. Zdanie to tylko z pozoru brzmi banalnie. Zwróćmy uwagę na fakt, że zjawisko zwane „młodą kulturą” czy „nowym ruchem” oficjalne lub półoficjalne komentarze krytyczne próbują uporczywie łączyć z wydarzeniem znacznie późniejszym: z grudniem 1970. Intencja tego zabiegu (i wybiegu) jest jasna: z marcem nie wiadomo do dziś, co począć, grudeń był zaś, oficjalnie rzecz biorąc, sprawą „słuszną”. Jest także, co jeszcze ważniejsze, sprawą — przynajmniej teoretycznie — załatwioną, odfajkowaną, bezpieczną. Dzięki temu zresztą zjawisko „młodej kultury” mogło się w ogóle ujawnić: z dzisiejszej perspektywy z prawdziwym rozrzewnieniem wspominać można okres „małej odwilży” lat 1971-1972, kiedy to fikcyjny „prze-

łom” pogrudniowy spowodował niejaki zelźenie kontroli cenzury. Szczęście nie trwało jednak długo: już około roku 1972 modne się stało w kręgach młodzieżowo-literackich ironiczne hasło „Nowe wraca”, ujawniające właściwą treść „przełomu” — również tego, który rzekomo miał się dokonać w dziedzinie polityki kulturalnej. Okazało się bowiem, że, jak w wierszu Herberta, władza „lubi odwagę cywilną” ale „do pewnych granic, do pewnych rozsądnych granic”...

Powtórmy: to właśnie marzec był dla tej generacji właściwym „przeżyciem pokoleniowym”; grudzień był tylko (choć słowo „tylko” może nie jest na miejscu wobec tej tragedii) potwierdzeniem uprzedniej diagnozy. To właśnie po marcu powstają pierwsze ważkie i przełomowe utwory poetów krakowskich, warszawskich, poznańskich. Chodzi tu zresztą nie tyle o chronologię, co o charakter tej poezji. O to, że cechował ją od początku nie tylko ogólnikowy bunt przeciw wszelkim totalitaryzmom i przemocy, ale również myślowy krytycyzm, niechęć do powszechnie wpajanych w umysły dogmatów, opór wobec duchowego zniewolenia społeczeństwa, wyczulenie na problematykę słowa i uprawianie za pomocą słowa propagandowej perswazji. A więc właśnie to, co było rezultatem doświadczeń marcowych, co wtedy — jeszcze w formie czysto emocjonalnego sprzeciwu — kazało palić gazety, a co w poezji, krytyce literackiej, teatrze studenckim itd. zaowocowało jako postulat nieustannej walki z „gazetowymi” wypaczeniami społecznej świadomości. To marzec zmusił młodą poezję końca lat sześćdziesiątych do poszukiwania nie tyle piękna, co prawdy — i do poszukiwania języka nie pięknego lecz takiego, którym dałoby się tę prawdę wyrazić.

Wiersze Jacka Bierzina, która Czytelnik ma w ręku, są niejako klasycznym przykładem tych tendencji. Powiem od razu: są przykładowe nie tylko dzięki swym zaletom, ale i przez pewne braki, których niżej podpisany bynajmniej nie ma zamiaru tuszować. Są również znamienne dla aktualnych losów całej „młodej kultury”: wykreślenie tomu Bierzina z planów Wydawnictwa „Czytelnik” stało się jednym z głośniejszych symptomów faktu, że sławetna „mała odwilż” dawno już się skończyła...

Z „nowym ruchem” poetyckim łączy te wiersze przede wszystkim problem, który określiłbym za pomocą jednego z bierzinińskich tytułów: „Arkadia”. Arkadia to kraina wiecznego szczęścia, mlekiem, miodem i kulturą masową płynąca; ale przy

bliższym oglądzie arkadyjski ogród zaczyna dziwnie przypominać obóz koncentracyjny, a w najlepszym wypadku — państwo Platona, gdzie, jak wiadomo, wstęp dla poetów był wzbroniony. Nic dziwnego, bowiem poeta to rozsądnik zarazy, której na imię: niepokój. Wieczna szczęśliwość — czy choćby jej najlichszy surogat — to wartość w państwie nader pożądana, jako że skłania do bierności i uległości; jakikolwiek cień niepokoju, nieufności, niezadowolenia z aktualnego stanu rzeczy mogłby doprowadzić do wywrotowych następstw. Ponieważ zaś niepokój jest nieodłącznym skutkiem myślenia — obywatele myśleć za wiele nie powinni.

Mówiąc poważniej, ta ironiczna koncepcja Arkadii jest dla Bierzina odwrotną stroną koncepcji roli poety we współczesnym totalitarnym społeczeństwie. Jeśli poezja ma tu jeszcze cokolwiek do roboty, to właśnie to: powinna swoje naturalne i odwieczne atrybuty — indywidualną niezależność w widzeniu świata, bezkompromisowość sądów, językową autonomię — wykorzystywać dla pobudzania ludzi do myślenia, obracać na wytwarzanie w nich tej energii, jaką jest niepokój, wytrącać ich ze stanu biernego samozadowolenia. Tylko wtedy przestanie być śmiesznym przeżytkiem minionych epok; tylko wtedy dostrzec będzie można wysyłane przez nią „światło dzienne kilku kruchych prawd”.

Bierzina dzieli jednocześnie z wieloma swoimi rówieśnikami przekonanie, że droga do tego celu wiedzie poprzez krytyczną demaskację tych stanów świadomości, które sprzyjają właśnie bierności myślowej i społecznemu bezwładowi. Dla poety zaś świadomość społeczna dostępna jest przede wszystkim poprzez język. Walka z fałszem językowym godzi tutaj w „fałszywą świadomość” — zwłaszcza w takie jej formy, które są oficjalnie propagowane i rozpowszechniane. Stąd tak wielka w wierszach Bierzina ilość stylizacji i cytatów, powołujących się bezustannie na różne odmiany słowa „oficjalnego”, owej „drętwej mowy”, która jest nie tylko obiektem popularnych prześmiewek, ale symptomem groźnego fałszu zakradającego się w życie społeczne. Stylizacja na język artykułu wstępnego czy przemówienia, na pseudonaukowe spekulacje („Arkadia”), nawet na tak z pozoru „apolityczne” typy wypowiedzi jak przepis użycia („Rzecz”), gazetowe ogłoszenie („Bezsensowność I”) czy uliczny neon („Święta Bożego Narodzenia”) — ta wciąż obecna stylizacja demaskuje

wewnętrzny absurd i pustkę oficjalnych stwierdzeń, więcej: zestawiając je ze znaną każdemu empiryczną rzeczywistością każe czytelnikowi właśnie myśleć, dochodzić do samodzielnych wniosków na temat i tej rzeczywistości i tego języka.

Rzeczywistość. Śmiesznie to może zabrzmieć, ale właśnie istnienie zewnętrznej rzeczywistości jest jednym z najważniejszych odkryć obecnej młodej poezji. W okresie „kryzysu poezji” w latach sześćdziesiątych, kiedy to wiersze pełne były umownych, alegorycznych „ptaków”, „kamieni” i „ryb”, zapomniano jakby o tym, że na świecie istnieją także tramwaje, bary mleczne i kolejki po mięso. Poezja marcowego pokolenia, ze swym żądaniem prawdy zamiast piękna, zachłysnęła się właśnie tym życiowym konkretem potocznej codzienności — banalnym może, ale nie dla ówczesnej poezji. Dla niej ten świat był nowy i świeży; i również przykład Bierzina pozwala stwierdzić, że jeśli w jakiegokolwiek dziedzinie współczesnej literatury przekazany został prawdziwy obraz życia w Polsce ostatnich kilku lat, nastrój tego życia, jego szary koloryt i powszechna beznadzieja — to nie w lakierowanych powieściach „realistycznych”, nie w bezmyślnej z założenia kulturze masowej, a właśnie w poezji młodego pokolenia.

Nie chciałbym tu jednak prawić tej poezji samych komplementów. Wiersze Bierzina (*nota-bene* pisane w większości do brych parę lat temu) sygnalizują również pewne słabości „nowego ruchu”, a raczej — jego wstępnej, nie całkiem jeszcze dojrzałej fazy, którą nazwałbym fazą „kontestacyjną”. Słabością taką jest przede wszystkim fakt, że atakując skostniały język „oficjalny”, poezja ta nie zawsze potrafi przeciwstawić mu swój własny język. W momencie, gdy trzeba odrzucić ironicznie kompromitowane „cudze słowo” i przemówić własnym głosem, Bierzina zbyt często sięga po język poetycki dość tradycyjny i zużyty, a przez to — nie całkiem przekonujący. Zwłaszcza gdy język ten opiera się na stylistycznych zasadach patosu i alegorycznej wzniosłości. Właściwością każdej kontestacji jest też to, że nie przebiera ona w środkach ataku; stąd też nie każdy czytelnik zaakceptuje ten rodzaj dość grubej ironii, jaka pojawia się np. w prozie poetyckiej pt. „Robotnik”...

Zarzuty drobnego kalibru można by zapewne mnożyć, nie w tym jednak rzecz. Pokolenie krytycznych wobec rzeczywistości społecznej poetów jest na ogół jednocześnie krytyczne wobec swych własnych osiągnięć, i można być pewnym, że pewne nie-

dostatki znamienne dla „kontestacyjnej” fazy jego działalności zostaną wyeliminowane już w fazie obecnie trwającej, w fazie zdobywania dojrzałości poetyckiej i myślowej. Można być też pewnym, że bardziej nawet niż dotąd istotne stanie się dla poezji tej generacji wezwanie rozpoczynające tom Bierzina:

*Popiele wiersza piękny i bezradny
przywracaj życie osieroconym czasom...*

Feliks NIEDOLSKI

*Obstaję przy tym
Ze miejsce poety teraz
Jest na ulicy
Ze musicie wziąć szturmem
Wieże z kości słoniowej Obalić je
Proklamować
Stan nagłej potrzeby*

*Skoro pozwolę sobie ronić łzy
Nad własną niedolą
Jeżeli nie jest ona również
Twoją niedolą
Czytelniku
Odepchnij mnie*

*Aby nie było więcej
Poezji nieobecnej*

POECI NA ULICY, Anonimowy poeta
barykad paryskich w maju 1968

Przełożył Wiktor Woroszyński



ELEGIA

Popiele wiersza piękny i bezradny
przywracaj życie osieroconym czasom

Błogosław kroki wchodzących na szczyty
ulecz ranę powietrza za spadającymi

Tym co zdążyli zwyciężyć daruj gałązki oliwne
z mroków wydobądź dobroć i przywróć im sumienia

Posyłaj bohaterów do armii która przegrywa
lub powytrącaj miecze stojącym w równych szeregach

Popiele wiersza piękny i bezsilny
wygnańcom przenieś góry przez ocean

Zawróć wiatry i powieki podnieś czekającym
niech ujrzą upragnione białe żagle na morzu

Pokochaj ludzi lecz nie miej narodów wybranych
w nich rodzą się prorocy marzący o imperium

Wiare odbierz konającym a daj tym co zostają
rozwiewaj kłamstwa mitów i uczynj duszę śmiertelną

Popiele wiersza piękny i bezbronny
nadzieję ześlij tym którzy nie wiedzą

I pozwól odejść tym którzy chcą odejść
świadomie z okiem niewzruszenie czystym

1970

SZKICE Z ARKADII

*Janowi Lityńskiemu i Adamowi Michnikowi
— przyjaciołom i współmieszkańcom Arkadii.*

ARKADIA

Istnienie Arkadii jest jaskrawym przykładem fałszywości i spekulatywnego charakteru pewnych koncepcji filozoficznych uznających konfliktowość za atrybut ludzkiego świata (spekulatywny, od łac. *speculativus*, badawczy — abstrakcyjny, oparty na myśleniu oderwanym, nie liczącym się z doświadczeniem i praktyką). Arkadię dzielimy na proste i złożone.

Arkadia prosta jest to struktura przedustawna o niskim stopniu organizacji społecznej. Pomijając pewną tandetę estetyczną (pasterstwo na łagodnych stokach gór, pastelowa polichromia twarzy) można w niej zamieszkać wygodnie i od zaraz, tj. od zawsze. Co wrażliwsze i artystycznie utalentowane jednostki odczuwające potrzebę (obowiązek nie istnieje) pracy mogą zajmować się projektowaniem ubiorów dla arkadyjskich obywateli (moda jest w Arkadii jedyną formą ruchu).

Arkadia złożona jest to struktura poustawna o wysokim stopniu rozwoju cywilizacyjnego i społecznego. Na tle innych Arkadii, będących odmianą prostej, wyróżnia się korzystnie wyprasowanymi policjantami, lekkimi obyczajami oraz surowymi więzieniami i obozami pracy (w odpowiednio niezdrowych klimatycznie regionach) dla osobników z arkadyjskiego marginesu. Ważnym elementem rzeczywistości jest twórcza praca spokojnych i bezpiecznych obywateli, a także ustanowiony raz na zawsze „Kodeks postępowania moralnego” zapewniający obywatelom należyte im poczucie własnej bezgrzeszności (jedna z metafizycznych potrzeb wyższego rzędu). Intelktualiści nie zajmują się futurolo-

gią bowiem przyszłość jest gotowa. Także teraźniejszość i przeszłość.

Od czasu do czasu Arkadię nawiedzane są klęskami żywiołowymi, takimi jak szarańcza barbarzyńców czy erupcja (gwałtowne wydobywanie się na zewnątrz, np. lawy, pyłów, gazów; wybuch) wulkanu szczęścia. Barbarzyńców unieszkodliwia się salwami z publikatorów. Gorzej rzecz ma się z drugą plagą. Produkty wulkanu trzeba bowiem zjadać co powoduje zbyt doskonałą strawność.

Z racji słabego przyrostu naturalnego arkadyjczycy chętnie przyjmują przybyszów z zewnątrz.

I TY MOŻESZ ZOSTAĆ CZŁONKIEM ARKADII ZAKŁADAJĄC LUB WYDAJĄC SPECJALNIE PREMIOWANĄ KSIĄŻECZKĘ ARKADYJSKĄ.

1971

MANDELSZTAM

Zmowa ciemności. Ścisk w pociągu.
I bledną dzienne sny.
Wszystko gdzieś niknie. Mroźny blask,
Pociąg i sen i my.

Dzisiaj zółw-lira i słońce Epiru.
Czas nędzy majaki gna.
Szczęśliwe wyspy i błękit Hellady,
A jutro pot i strach.

Samowar szumi. Kipi noc wzburzona.
Wstrzymany zegarów bieg.
Czas ruszyć wzorem achajskich mężów
Po złote runo i krew.

Jest święta wyspa gdzie Jenisej huczy,
Gdzie wilk nie kona jak wilk.
Kłami chce walczyć o wolność i życie,
A wkoło pustka. I Nic.

Czas przyszedł wilkom przyjaciółom
Serdeczną podawać dłoń.
I wyrwać twarze z sieci utrudzenia,
I oczom dać złudną broń.

Noc od słów gęsta. Kobieta z obrazu
Ma uskrzydłony i lekki krok.
Otworzą jej ciało. Czapkę frygijską
Pochłonie ludzki skowyt i mrok.

★★

Kto milczy zdaje się zezwalać.
Dzień wyrwał sen z powiekami.
A wrony ścierwo lepkie od krwi
Darły dziobami i szponami.

Już Władystok. I przerwa w podróży.
A pociąg toczył się dalej.
A mnie się śniły wzgórza Pierii,
Kamiennej i doskonałej.

1970

WYGNAŃCY

Czesławowi Miłoszowi

Idą i echem kroków biją w niebo
Pragnąc zachować swe rysy do końca
Niczego więcej zabrać im nie można
Wygnanym z ziemi odartym ze słońca
Spod żagli gnanych przypadkowym wiatrem
Echo przenosi sygnały do portów
Gdzieś pod osłoną nieprzychylnych brzegów
Rozdrapią kamień i przysypią oddech

1969

DOPÓKI SĄ TE STOSY ...

Zbigniewowi Herbertowi

Ci którzy umarli przychodzą do nas
niespodziewanie i o różnych porach
Stukają do drzwi skrzypią pod podłogą
jakby chcieli się dostać
do naszego ziemskiego raju
choć wiedzą że nasz raj jest stosem
na którym się umiera lub stosem ofiarnym
na którym płoniemy wszyscy
mimo że jest jeszcze światło które niesiemy w sobie
na północ i południe
z tą wieczną nadzieją odwiecznym lękiem

Dopóki są stosy którym jesteśmy winni
dopóki ich gałęzie dławią nas
wychodzą przez usta zasłaniają okna
dopóki są te stosy
żyjemy przeciw i dzięki nim
A jednak wierzę głęboko
że czeka nas los straszny
któremu niezmiennie wychodzimy naprzeciw

PLATON

Nie mam do niego pretensji o to, że chciał mnie wypędzić z Republiki. Wiem, że składał mnie na ołtarzu w ofierze żywiołom jasnym i życiodajnym. Wiem, że byłem tylko cieniem, spoza którego pragnął dotknąć istoty rzeczy i zyskać wiedzę pewną.

Jasność sylogizmu przeciw ciemnej i strasznej jak noc mocy metafory, rodzącej dramat i niepewność, budzącej chaos i przerażenie.

Jego jednowymiarowe państwo, płód ciężkiej fantazji, nie było jeszcze najgorszą z tyranii. Poza tym żyło na pergaminie.

Współczesny Platon nie jest filozofem.

MIESZKANIEC BIAŁYCH NOCY

Światłu dziennemu

Zaprzeczający sobie mieszkaniec białych nocy
Tonący w wielu dniach bez ratunkowego wiersza

Kat bożyszczy targowisk Skazany nadzieją
Wiecznie odpływający po złote runo prawdy

DO MŁODEGO POETY WSPÓŁCZESNEGO

Andrzejowi Biskupskiemu

*Czym jest poezja, która nie ocala
Narodów ani ludzi?*

Twoje czyny już zawsze zostaną nadzieją
choć znasz ich cenę tak jak znasz te słowa
wpychane poecie z powrotem do ust
opowiedzieć o nich można tylko kłamiąc

Znasz już nieufność Ten wiersz choćby skłamał
nie zdoła ocalić narodów ni ludzi
lecz spróbuj jeszcze nazwać to bogactwem
to że ocalasz nim człowieka w sobie

I znowu piórem odkrywasz pogardę
broń nieprzydatną dla nas czuwających
wiarą podszytych lub usypiających
z tym wierszem o tym czego jeszcze nie ma

Cokolwiek jednak opowiedzą o nas
kiedy ciemności porażają twarz
zostają jeszcze ramiona i myśli
i światło dzienne kilku kruchych prawd

CUKIERNICA

Ciągle usiłuje mnie przekonać, że jest mi niezbędna. Jako istota niezwykle przebiegła robi to w momentach najbardziej odpowiednich, np. gdy piję herbatę, gdy myślę o sobie, gdy piszę wiersz. Jej lukrowata wszechobecność jest nie do zniesienia.

Do Was apeluję, szlachetni i święci inkwizytorzy: Zgładźcie ją, abym nienawiść mógł skupić tylko na Was.

SZACHY

Nawet koń ma już tego dosyć. Parska gniewnie i wierzga. Król, bardzo zmęczony ciągłymi nawrotami historii, ulokował się w cieniu wieży i śpi. Od czasu do czasu budzi go jakiś goniec i zmusza do przeniesienia się w inne miejsce. Większość zwykłych piechurów już poległa. W obydwu armiach panują nastroje pacyfistyczne.

Tylko dwaj dziarscy hetmani nadal szafują złotem, obietnicami i cudzą krwią. Gdyby nie ci — ongiś wybrani z braku lepszych kandydatów — wojna dawno by się skończyła.

PEGAZ

Na pewno nie jest potomkiem Anglika ani Araba. Ryża szczołka zamiast ogona i odstające uszy wskazują raczej na pochodzenie niejasne. Jedyne oczy błyszczą jak Syriusz prawdziwie zwierzęcą dobrocią. Wiezorami przychodzi do mnie. Palimy „Sporty” i rozmawiamy do późna o nowych prorocत्वach i obniżce cen siana. Czasem bierze mnie na grzbiet i cwałujemy przez epoki w bezskutecznej ucieczce przed płońową gwiazdą apokalipsy.

O północy musi iść spać. Ponieważ nie jestem w stanie go wyżywić, dorabia na pół etatu w transporcie miejskim. Woli raczej wywozić śmieci niż występować w epejach narodowych.

ŚWINIA

Przez przypisywanie jej nadmiaru cech ludzkich została znieważona i ośmieszona. Prawie przez wszystkich. Jej świadomość ludzkich nieprawości nie ma sobie równej.

Prostoduszna i tolerancyjna nauczyła się wybaczać bezinteresownie, bez obietnic pozaziemskich rozkoszy.

Przypadek osobliwy, nie znany w historii religii, i heroiczna postawa godna najwyższego szacunku.

TRAMWAJE

Najmniej reakcyjnym elementem w historii społeczeństw są tramwaje. Jeżdżą zawsze tymi samymi wyznaczonymi torami i nic ich nie obchodzi rzeczy ostateczne. Ujemnie na ich zdrowiu odbiły się okresy, w których służyły za barykady. Stały się łatwo pobudliwe i nieopanowane.

Nocą, zmęczone pianem klaksonów, śpią w remizach. Marzą wtedy o dalekich podróżach do krajów pomarańczy i demokracji. Nie myślą o przejściu na emeryturę.

Wiedzą, że nawet wówczas ich marzenie pozostanie nieziszczalne.

LAMPY

W przypadku odcięcia źródła światła naturalnego potrzebujemy światel sztucznych. Nie tracimy nic na tej zamianie, gdyż światło sztuczne w niczym nie ustępuje prawdziwemu, a nadto posiada szereg właściwości ochronnych i leczniczych.

Ze światłem sztucznym rzecz ma się podobnie jak z margaryną, która jest źródłem witamin i sprzymierzeńcem Twojego budżetu.

Jesteśmy skazani na sztuczne światło, na lampy stojące i wiszące, świecące prosto w oczy i gasnące nim zrobimy krok naprzód. Jesteśmy skazani na gwiazdozbiory lamp na nieprawdziwym niebie.

RZECZ

Z rzeczą niematerialną należy się obchodzić niezwykle ostrożnie. Chronić od wilgoci i chłodu. Także od upału. Najlepsza jest temperatura pokojowa. Polerować codziennie. Najlepiej pawim piórem lub szczoteczką do zębów. W dni świąteczne unikać ustawiania jej w pokoju w miejscach bardziej eksponowanych. Może się stremować i ulotnić.

Uwolnieni od niej możemy już odejść w krainę zegarów i bezkonfliktowego życia zbiorowego.

P I E C

Siedzimy razem w pokoju. Piec i ja. On jest bardzo stary i przepalony. To nas jeszcze dzieli.

Ma już dość sadzy, dymu i skażonego czadem powietrza. Marzy o spokojnej starości upływającej przy lekturze wielkich filozofów, w pokoju pełnym kaloryferów i pelargonii.

Kiedy buntował się i wybuchał gryzącym dymem, zaczęto go przebudowywać. Wbrew jego woli. Siedzi teraz w swoim kącie osowiały i bez nadziei. To nas łączy.

W sumie jest zimno, bardzo zimno.

CZYTELNIK

Kończy lekturę i głaszcze kota. Zakłada cylinder Iwana Karamazowa, wytarty szalik i stukając o chodnik laseczką Kafki idzie po dżem i chleb na kolację. Później otwiera książkę, zamyka książkę i ziewa.

Rano wita go szef: „Znowu się pan spóźniasz, panie Kowalski!”

Z tych dwóch piekieł woli chyba tamto.

ROBOTNIK

Należy przywrócić rzeczom właściwe proporcje. Dlatego piszę te słowa o robotniku. Przeciętnym. Odznaczającym się głębią i subtelnością uczuć.

W każdą sobotę upija się bardziej niż zwykle i chodzi na kurwy. Wraca wraz z nadejściem porannych mgieł i bije żonę. Niech chociaż ona wie, że jest dyktatura proletariatu.

1967

ZEGAR

Oprawca wymierzający dokładnie czas niewypełnianych obowiązków. Jego wnętrzności mają w sobie coś z precyzyjnych i użytecznych relikwów przeszłości, np. gilotyny, koła do łamania żeber. Przyszłości nie widać. Ani szybko ku niej biegnąca wskazówka duża, ani powolna mała nie potrafią wyjść z zaczarowanego koła, z zaklętego kręgu biurokratycznej powtarzalności. Nic z metafizyki, nic z mistyki tajemnicy.

Apologeta codzienności i zastanych porządków, piewca stagnacji, niezmienności i szarzyzny. Wnętrze katowni. Bezcelność posunięta tak daleko, że nie łudząca nas niczym, żadnym mirażem.

Mamy takie zegary na jakie zasłużyliśmy.

BEZSENNOŚĆ I

Wóz z bańkami na mleko zatrzymał się przy sąsiedniej bramie
Ulica wybucha łoskotem żelastwa
Za oknem nic się nie zmieniło
Trochę dalej też nie
Eskalacja wojny w Wietnamie
Kometa spadła do oceanu
Aleksander Dubczek usunięty z KPCz
Komandosi palestyńscy porywają dwa samoloty
Nasz brak miłości Nasze kłamstwa codzienne
Wiele wojen o których nie pisze się w gazetach
Poeta wyskoczył z dziesiątego piętra wieżowca i spadł na jezdnię
pod nadjeżdżający tramwaj który obciął mu skrzydła
W łóżku zostawił literacką kurwę
a w popielnicze dziesięć niedopałków
Na drugi dzień był wielki
a na trzeci znów żywi mieli rację
Młode małżeństwo — członkowie spółdzielni mieszkaniowej —
poszukuje pokoju w centrum miasta
i wielu innych rzeczy
Młode małżeństwo prosi o przydział mieszkania kwaterunkowego
i prawa do obecności
Czy można prosić o
Owszem prosić można

Głowę do przebijania muru w dobrym stanie
tanio sprzedam — tel. 857-02
Oddać Andrzejowi 200 złotych
Zapłacić raty za następny kawałek życia
Skąd wziąć forszę — do rozwiązania
Udawać że się czegoś nowego nauczyłem
Odwalić część edukacji państwowej
tzn. nauczyć się czegoś niepotrzebnego
z niepotrzebnego przedmiotu przez który mogę zawalić studia
Udawać że jeszcze w coś uwierzę
albo udawać że już w nic nie uwierzę
Przespać się z pewną damą z elity
która ma mi załatwić pracę po studiach
(Dama to taka sama kurwa jak kurwa
tylko że susia perfumami)

Zegarek Użyć wreszcie glimid

Nie myśleć

Myślenie ma kolosalną przeszłość

Rozluźnić mięśnie Oddychać głęboko Liczyć

Jeden

dwa

trzy

cztery

pięć

sześć

siedem

osiem

dziwięć

dziesięć

jedenaste

dwanaście

trzynaście

czternaście

piętnaście

szesnaście

CHOROBY SPOŁECZNE

Od życia społecznego
dostałem bezsenności

W odpowiedniej poradni
zaaplikowano mi serię zastrzyków

ale jak się okazało
leczyły one tylko syfilis

PRÓTOWÓR

Trzynastego marca, w dniu moich urodzin, pojawił mi się w okolicach skroni guz wielkości gołębiego jaja. Guz był to zielony, to fioletowy i bolał przy zaciskaniu szczęk, która to czynność jest w naszym kraju i w naszych czasach potrzebna do życia jak powietrze. Kuracja, przeprowadzana przy pomocy konwencjonalnych środków zalecanych przez lekarzy, nie dawała żadnych rezultatów. Przez jakiś czas usiłowałem sam przeniknąć tajemnicę guza, stosując za każdym razem inne narzędzia badawcze, będąc kolejno strukturalistą, personalistą i dialektykiem. Mnożyłem nierozwiązywalne problemy ontologiczne i epistemologiczne, aż wreszcie zaplątałem się tak, że sieć bytów musiałem przeciąć nożem. Jednakże odniosłem wrażenie, że guz zmniejszył się nieco. Oczywiście, jak większość ludzi, ulegałem złudzeniom optycznym. W końcu, za namową przyjaciół, udałem się do Instytutu Onkologicznego.

Rak światopoglądu, przypadek nieuleczalny — stwierdził lekarz i polecił wyrzucić mnie na śmietnik. Jakby zapomniał, że jest to zaraźliwy rodzaj nowotworu i że moje rozkładające się zwłoki przyspieszą jedynie przyście zarazy.

PRZYCHODZĄ PO MNIE

Mówią: przychodzimy po pana
Odpowiadam im uprzejmie choć stanowczo
że niestety
nie zdążyłem załatwić pewnych ważnych spraw
ba
nie zdążyłem nawet uporać się z sobą
Tłumaczą mi (równie grzecznie choć stanowczo)
że nie można odkładać Uroczystości
że kat Jej Królewskiej Mości
od jutra ma przejść na emeryturę
że sam obrządek wpłynie zapewne kojąco
na rozdygotane nerwy następcy tronu
co może mieć kolosalne znaczenie dla kraju
Odpowiadam że niestety mam żonę i dzieci
(co jest nieprawdą)
którym muszę zapewnić utrzymanie
Nie dają się przekonać
Wtedy jednemu z nich podsuwam tabakierkę
Kicha i odpada mu nos
Chwytam za nos i zaczynam nim wywijać jak szablą
Przypadkowo kładę obydwu wysłanników na łopatki
Później wszystko staje się proste
We fraku jednego z nich wychodzę
i częstuję zdobycznym „Carmenem”
(sam palę tylko „Sporty”) strażnika

z którym za pół godziny rozpoczynam rewolucję pałacową
(jak dotąd w naszym kraju wszystkie się udawały)
w wyniku której zostają obwołany dyktatorem
i trybunem ludowym zarazem
Na mocy pierwszego dekretu rozwiązuję wszelkie umowy społeczne
oraz więzy międzyludzkie
i idę na piwo do kawiarni „Kameralna”

Stworzywszy w ten sposób sytuację prawdziwie rewolucyjną
przekonywuję znajomego policjanta
że oświecony absolutyzm jest lepszy od demokracji

1970

ŚWIĘTO WIOSNY

Na ukwieconych ulicach karmiono transparentami
nadwątloną przez bratnie pomoce ideę braterstwa ludów
W Alejach Niepodległości panowała wolność
z racji wstrzymania ruchu kołowego
Równość była jednakowa dla wszystkich
Dziś decydowało o Jutrze
Jutro było zachmurzone
i ze strachem patrzyło na Dziś
Panował nastrój radosnych igrzysk
Obiecywano coraz więcej chleba
Ludzie zamieszkali w pochodzie
i oddychali sztandarami
Byłem wolny tzn. miałem świadomość
że przebywam na świeżym powietrzu

ŚWIĘTA BOŻEGO NARODZENIA

Na całym świecie rozpoczęło się świąteczne
zawieszenie broni i praw dialektyki
Czekało nas kilka spokojnych ahistorycznych dni
Szedłem ulicą Obrońców Stalingradu
Była noc Z domów odpadała secesja
Dwóch mężczyzn biło się przed Simem
nadjeżdżał świątecznie odprasowany patrol
Na Placu Wolności spawano szyny
W neonie PZPR PRZODUJĄCA SIŁA NARODU
nie paliło się kilka liter
jak w większości neonów reklamowych w naszym mieście
KAŻDY POŻAR NISZCZY MIENIE SPOŁECZNE

[I OSOBISTE

wieszczyła brama remizy strażackiej
Myślałem o pożarze serca i mieniu osobistym
Włodzimierza Majakowskiego
a także o wszystkich innych argonautach
bardziej odważnych bardziej zrozpaczonych
o ich ewolucjach i rewolwerach

Na całym świecie rozpoczęło się świąteczne
zawieszenie broni i praw dialektyki
Czekało nas kilka spokojnych ahistorycznych dni
Faszyści zmienili koszule z czarnych na non-ironowe
w wierszu Ryszarda Krynickiego i w rzeczywistości

nadal nie było wiadomo
kto zajmie miejsce U Thanta
Nadal jesienne Święta bez opadów śnieżnych
Tramwaj mijał patrole Patrole mijały tramwaj

Zaczynało się jutro

1971

SWIETA TRZEBNY NAWROZINA

Na całym świecie rozpoczyna się rok obrotowy. W
różnych krajach i kulturach obchodzą go z różnymi
Ciekawe jest, że mimo różnic w tradycjach i zwyczajach
jest coś, co łączy wszystkie narody. W tym dniu
Dzień ten jest dniem nadziei i optymizmu. Wierzymy, że
na całym świecie zbliżają się zmiany, które przyniosą
Miłam, Wzrostem i miłością. W tym dniu
W tym dniu, kiedy świat się odnowi, kiedy
nie będzie już miejsca dla nienawiści i strachu.
JAKOŻ TOŻEJ MIŁOŚCI I WIERZENIA
Wierzymy, że świat się odnowi, że
współzależne będą nasze losy, że świat się odnowi.
Młodość i pokój, miłość i wolność, dobro i
Wierzymy, że świat się odnowi, że
z miłości i wiary, z nadziei i wiary.
Wierzymy, że świat się odnowi, że
miłości i wiary, z nadziei i wiary.
Wierzymy, że świat się odnowi, że
miłości i wiary, z nadziei i wiary.
Wierzymy, że świat się odnowi, że
miłości i wiary, z nadziei i wiary.
Wierzymy, że świat się odnowi, że
miłości i wiary, z nadziei i wiary.

Wam, zwykłym czytelnikom prasy codziennej
(sprawozdanie z wojny, sprawozdanie z obrad, doniesienia z raję,
kronika wypadków, wyniki gier liczbowych, powieść kryminalna
plus ogłoszenia drobne)

Wam, zwykłym oglądaczom programów telewizyjnych
(dziennik telewizyjny, kapitan Kloss wykonał zadanie, mistrzo-
stwo w jeździe figurowej, spotkanie z cieniem Jana Kiepury,
Dziewczęta z Nowolipek)

Wam, zwykłym i sympatycznym radiosłuchaczom
(rozrywka — gra polska kapela pod dyrekcją Feliksa Dzierża-
nowskiego, Moskwa z melodią i piosenką słuchaczom polskim,
Program z dywanikiem)

kultura — Nasze zwykłe sprawy, Dobranocka, Z partyzanckiej
płytki, dziesięć minut z Violetką Villas po powrocie z Las
Vegas, pięćotysięczny odcinek powieści radiowej Matysiakowie)

Wam, zwykłym pasażerom dziennych i nocnych tramwajów
(z pracy do pracy, z pracy do pracy, z pracy do pracy,
z pracy do pracy, nie pchaj się pan, to pan się nie pchaj)

Wam, znającym Marksa z fotografii w „expresie wieczornym”
i z reprodukcji pierwszomajowych (zbiórka, trzy godziny czekania,

trzy setki w restauracji na rogu i okrzyki „niech żyje!” przed trybuną)

Wam, zwykłym entuzjastom ustawy o pasożytach,
krótko ostrzyżonym i podgolonym (strzyżenie podstawą ładu)
pijącym piwo i w pogoni za kulturą szturmującym drzwi nocnych lokali

Wam, wtopionym bez reszty w idealne społeczeństwo,
śpiewającym „sto lat” i „czerwony pas” na rodzinnych przyjęciach
obfitujących w kiełbasę, na którą w pocie czoła zapracowaliście

Wam, ludziom zwykłym choć naprawdę myślącym
o niedzielnym obiedzie, o szóście w Toto-lotka,
pragnącym spokoju i wspólnoty z tłumem, masą, społeczeństwem

Wam, którzy jesteście pod wpływem przemożnej logiki
codzienności, konieczności, strachu i podłości
dalszego socjalistycznego rozwoju osobowości

zyczy święty Mikołaj

6 grudnia 1971

Z PODRÓŻY W NIEOBECNE

*E w i e,
która podróżowała ze mną*

POCIĄG

Wiktorowi Woroszylskiemu

Wsiadłem do tego pociągu z mieszanymi uczuciami. Miała to być moja pierwsza, autentyczna podróż w nieznane. W nieznane, ponieważ nikt z nas nie wiedział dokąd jedzie. Niektórzy sądzili, że będzie to podróż na pewien niezaludniony kontynent, na którym założą kolonię; inni mówili, że wyjeżdżamy na spotkanie nowym czasom. Jedni układali projekty konstytucji, drudzy snuli rozważania na temat warunków socjalno-bytowych w przyszłych więzieniach. W niektórych przedziałach panowało niezwykle ożywienie. Mężczyźni przenosili kufry i walizki, wieszali na ścianach najcenniejsze obrazy pośpiesznie zabrane z domu, przybijali półki na kwiaty; kobiety karmiły dzieci lub pomagały mężczyznom. Tym, którzy zabrali z domu tylko biblię zatęchła właśnie piątą anioł i widzieli, że gwiazda spadła z nieba na ziemię.

Moi współtowarzysze z przedziału niewiele różnili się od innych pasażerów pociągu. Pewna starsza pani z papugą (skąd ta papuga? — zupełny anachronizm) i z córką. Gruby posapujący jegomość — podobno antropolog kultury — chory na astmę, a po kilku dniach także na nostalgię. Egzaltowany młodzieniec, student pochodzenia robotniczego. Obok mnie kiwała się miarowo krótko ostrzyżona głowa jakiegoś oficera (oficjela? dyktatora?). Mimo że oficer, towarzysząca mu kobieta była wyraźnie znudzona i raz po raz spoglądała wyzywająco w stronę studenta, który na wszelki wypadek nie zwracał na nią uwagi. Siedzący

naprzeciw ksiądz (to już zupełnie jak w złych powieściach, ale cóż można poradzić skoro rzeczywiście tak było), o bardzo chudej twarzy i skórze koloru pergaminu, przyglądał się tej scenie z wyraźnym zgorzeniem. Na pierwszy rzut oka można było poznać, że nie czytał de Sade'a. Jego palce bez przerwy przesuwały paciorki różańca, który ginął w czeluściach nieskończoności i tajemnicy. O dwóch milczących panach przy oknie niewiele mogę powiedzieć. Byli smutni, bez znaków szczególnych. Opowiadali niewybredne dowcipy, mimo, że na głowach mieli czarne, lśniące cylindry, których nie zdejmowali nawet podczas posiłków. Kiedyś jeden z nich (dlaczego jeden?) uklonił się przechodzącemu korytarzem aniołowi i wtedy zobaczyłem, że jego głowa unosi się wraz z cylindrem. Przez chwilę widziałem szyję, która z góry wyglądała jak pień świeżo ściętego drzewa, po czym wszystko wróciło do normy.

Wszyscy wiemy dobrze jak nudna staje się podróż, gdy zaobserwujemy wszystko co było do zaobserwowania. Stacje mijały i każda okazywała się nie-docelową, tzn. nie trafiającą w cel naszych podświadomych pragnień. Groziłaby mi nerwica albo alkoholizm, gdyby nie antropolog Sancho-Pansa, który okazał się człowiekiem wielce prostodusznym i rozmownym, a nadto potrafił mnie w sposób przystępny wprowadzić w arkana swojej specjalności. Jak się okazało był on specjalistą i to nie byle jakim specjalistą w wąskiej specjalności specjalnego przeznaczenia. Po zjedzeniu dwóch ogórków czekałem aż coś powie.

— Ot, widzi pan — zagadnął mnie wprost. — Człowiek wyszedł nam ze zdania i nie wiadomo co z nim zrobić?!

(Od razu poznać specjalistę. To był autentyczny problem. Jakże często zdarzały się w naszych czasach wypadki wychodzenia ludzi ze zdań).

— Ze zdaniem czy z człowiekiem? — zapytałem naiwnie i na wszelki wypadek.

— Ponieważ jesteśmy antropologami zdania, a konkretniej specjalistami w zakresie zdań prostych oznajmujących, zajmiemy się wyłącznie człowiekiem i problemem osadzenia go we właściwym miejscu w zdaniu prostym oznajmującym. Jeśli nie zmieści się w jednym zdaniu, zbudujemy dla niego klatkę ze zdań prostych oznajmujących.

— A właściwie, tak między nami mówiąc — nachylił się całym

ciałem i szeptał mi do lewego ucha — człowiek, który nie mieści się w zdaniu prostym oznajmującym nie jest człowiekiem. Podobnie jak nie jest człowiekiem człowiek, który wyszedł, tzn. samowolnie opuścił zdanie proste oznajmujące. Oczywiście mówił już zwyczajnie — zdajemy sobie sprawę z niebezpieczeństwa powstania nacjonalistycznych społeczeństw zdań prostych oznajmujących, ale te sprawy przekraczają zakres naszych kompetencji. Zdania proste oznajmujące przekazywać będziemy antropologom zdań złożonych oznajmujących, których zadaniem będzie zbudowanie systemu. Dodajmy — odpowiedniego systemu, odpowiadającego masom zdań prostych oznajmujących.

— Należałoby się zastanowić — powiedziałem — czy możliwy jest taki system. Ostatnio filozofowie zmieniali świat, ale nie przyniosło to pożądaných rezultatów.

— Na obecnym etapie rozwoju nauki — popatrzył na mnie przez chwilę — antropologowie zdań rozkazujących są nam niepotrzebni; żyjemy przecież w praworządnym kraju. Nie znaczy to, że nie doceniamy ofiarności i zasług dla rozwoju nauki profesora Imperatywa.

— Problem jest jeszcze — ciągnął dalej — ze zdaniami pytającymi, ale gdy uporamy się i z tymi osiągniemy pełnię harmonii i ładu. Jedynym kierunkiem w sztuce będzie surrealizm pragmatyczny. Będzie nim samo życie.

— Zdania: „człowiek jest dobry”, „społeczeństwo jest szczęśliwe”, muszą być prawdziwe. Wynika to z ich składni, tzn. z faktu, iż zawierają formę osobową czasownika. Możemy spotkać się z zarzutem, że wobec tego zdania przeczące są również prawdziwe. Nic bardziej mylącego! Z punktu widzenia opisowej i historycznej dialektyki zdań jest to fałsz. Zdania oznajmujące nie przeczące, tzn. te nasze (poklepał mnie konfidencjonalnie po ramieniu) nie są bowiem ani tezą, ani antytezą, lecz syntezą. Nie udało nam się co prawda odtworzyć tezy i antytezy — głos jego zdrzął nutką niekłamanego żalu — ale nasze wysiłki naukowe w tym kierunku nie ustają.

— Koncentrujemy się, koncentrujemy — powtarzał (pomyślałem sobie, że nie najlepiej postąpiłem wyrzucając przez okno puszkę po koncentracie). — W naszej sytuacji społecznej najważniejszą rzeczą jest skoncentrowanie się na koncentracji (oj niedobrze, dlatego nie pomyślałem o tym przed otwarciem okna). — Wyróżniamy koncentrację wstępną, koncentrację częściową, kon-

centrację pełną, koncentrację nadzwyczajną i koncentrację absolutną.

Absolutną, absolutną, absolutną nie wiedziałem kiedy zmorzył mnie sen.

Senne marzenia.

Strzępki rozmów.

Jakiś staruszek na korytarzu mówił:

. i szliśmy ciągle do tego sztucznego raj, chociaż wiedzieliśmy, że nie ma sztucznych rajów, ba, wiedzieliśmy nawet, że nie ma w ogóle rajów . . .

. . . ludzie nie lubią prawd nie do zniesienia

. powiedział, że tylko ten zasługuje na wolność, kto codziennie o nią gotów jest walczyć . . .

. a szczęście?

— Jestem z tymi, którzy będą — mówił mężczyzna na korytarzu.

— Przeciw tym, którzy się odnaleźli we wczorajszym dniu. Nie pamiętam czy sny były kolorowe.

Po upływie pewnego czasu — nie potrafię określić dokładnie — dowiedzieliśmy się od konduktora, że czeka nas dłuższy postój. Na pytanie: Co będzie dalej? — nie potrafił odpowiedzieć, ale obiecał dowiadywać się częściej niż to robił dotychczas. Mój sąsiad antropolog spał. Paliłem papierosa na korytarzu (mój przedział był dla niepalących) i rozmawiałem ze znajomymi (z widzenia). Rozmawialiśmy właśnie o sobie, sprowadzonych do dwu wymiarów, o wielkich despotach naszych umysłów, gdy pociąg zatrzymał się na dużej stacji, która wydała mi się znajoma, choć nie sądzę żebym kiedykolwiek tamtędy przejeżdżał. Peron przylegający do naszego pociągu był zatłoczony tak samo jak inne perony i nie było żadnych realnych, możliwości opuszczenia wagonów. Przy drzwiach stali zresztą skrzydlaci aniołowie z rękami w kieszeniach ortalionowych płaszczów. Kieszenie mieli wypchane kredą i każdemu z kręcących się koło wyjścia, nawet wychodzącym do toalety, rysowali na plecach krzyże. Tu, wewnątrz niczym specjalnym to nie groziło, ale gdyby komuś udało się wysiąść . . . Po peronach przechadzali się dwójkami podobni aniołowie. Bez kredy, ale z drewnianymi krzyżami. Młodemu chłopcu, który wysiadł niepostrzeżenie by napić się oranżady,

przymierzali te krzyże do kredowego na plecach. Wyglądał z tym śmiesznie — trochę jak aktor, trochę jak muszkieter Ludwika XIV. Na twarzy miał wydrukowany strach. Na ogół jednak aniołowie byli spokojni i uśmiechali się życzliwie do ludzi usiłujących wsiąść. Falujący tłum szturmował wszystkie wejścia. Widziałem z bliska ożywione twarze kobiet, krzyczące dzieci, spoconych mężczyzn dźwigających walizki i przepychających się w stronę pociągu. Na całym odworcu panował nieopisany hałas, który powiększał jeszcze zespół big-beatowy Związku Młodzieży Zrzeszonej w Związkach. Do naszego wagonu usiłowało się dostać kilkunastu długowłosych chłopców. Kilku aniołów próbowało wprowadzić porządek, dziewczęta z Domu Mody rozpoczynały rewiew na Cześć, mężczyzna w czarnym garniturze krzychał coś przez tubę.

Setki torów, setki peronów, setki stacji. Niektóre z nich tak do siebie podobne, że gdyby nie nasza stała jazda naprzód gotów byłbym przysiąc, że się powtarzają... Gdy ruszaliśmy z kolejnego dworca, na dachach wagonów i na buforach zauważyłem nowych pasażerów. Palce kurczowo wczepiały się w metal, na twarzach mieli grymas szczęścia. Podczas postoju nic im nie mówiliśmy, choć wbrew pogłoskom nie sznurowano nam ust. Czy jesteśmy odpowiedzialni za nich, nowych pasażerów pociągu...

Nie wymagajcie jasności i ciągłości wątków.
Nie opowiedziałem jeszcze o zmęczeniu, o naporze świata (świata?), o porażonych oczach...
Wszystko splątane, nikt już się nie dowie, że w noc się zwolna pogrążając,
Wszystko splątane... ..

... i jest tylko rytm powietrza, rytm ziemi.
I ucieleśnienie rytmu — ptaki.
I śmierć rytmu — gromady ptaków ukrzyżowane na niebie.
I nieśmiertelny rytm — rytm kół nawijających na siebie przestrzeń.
Nie opowiedziałem jeszcze o zmęczeniu, a także o tym dziwnym pomysle. Co robili rozbitkowie wszystkich czasów? Kartkę tę wyrzucam przez okno. Uczciwego znalazcę proszę o opublikowanie jej treści w którymś z bardziej poczytnych pism...

Ale wróćmy do zmęczenia, do tej powracającej fali nagłego znużenia, do tego przyływu orzeźwiającego chłodu... Orzeźwiającego? A jednak to było najistotniejsze, ta struna, ten akord, z gamy dźwięków ten jeden wysoki dźwięk, wyodrębniający się, rozpoznawalny...

Niech zmęczenie ogarnie wszystkie nasze drogi
Smugą deszczu przejdzie po gorących twarzach
Kojącą muzyką zagra nieznudzonym
A szczęśliwym przyniesie ulgę wątpliwości
I niech sen ogarnie wszystkie nasze noce
Dobrodziejstwa zatopi w rzece zapomnienia
Niech będzie bardziej gorzki od piołunu piołun
Miłość niech będzie bezdomna i niema
Wolność niech będzie nadal niebezpieczna
Prawda daleka i obecna ziemia

Tak, teraz, wtedy, myślałem o obecności ziemi ani zbyt łatwej, ani zbyt taniej, o odwiecznym stukocie kół, o Błazeju Cendrarsie przewożącym skarby Golkondy (jechali transsyberyjską aby ukryć je na końcu świata), o poszukiwaczach złota i poszukiwaczach prawdy, o tym skazanym na pociągi, który wysiadł i niepostrzeżenie umarł lub został rozstrzelany; ocaliła go pamięć jego żony, Nadziei; będziemy pamiętali, że ziemia kosztowała nas to życie, że ziemia kosztowała nas niebiosów wielu...

Niech więc przyjdzie do nas nareszcie sen i zmęczenie, z którego się obudzimy i znów nie będzie nic zwyczajnego, ani bezpiecznego...

BYŁEM

Byłem tak blisko Twojej twarzy, że zatrzymałaś mnie w objęciach powiek.

Byłem tak blisko Twoich piersi, nieruchomych jak przycichły zamęt.

Byłem tak blisko Twojego brzucha, pulsującego rytmem podziemnych rzek krwi.

Byłem nami w Tobie, byłaś we mnie nami, byliśmy w sobie przerażeni i szczęśliwi z utraty poczucia granic własnego ciała.

Byłem w tym głosie, w którym — zdumiony — rozpoznałem swój głos.

Byliśmy tak blisko w milczeniu, szukając siebie, niepewni czy wzięliśmy całe swoje istnienie we wszystkim.

Odnajdując się w sobie byliśmy jedynym sobą, we wszystkich stronach życia tak jedynie tacy sami.

*
**

Pasażer wielu dworców Rozbitek kilku podróży
(moim prawdziwym domem jest rozogniona bezsenność)
nie przewidziałem podróży w twoje znajome brzegi
w cudze na nowo brzegi twoich warg i piersi
w rżyska twoich krótko ostrzyżonych włosów
w wierność twoich myśli w dzwonnice oddechów
w urwiska twego płaczu w stromość twego śmiechu

Na brzegu białej kartki niepowstałego listu
na brzegu życia i na brzegu brzytwy
na brzegu krwi na najwyższych strunach świadomości
na brzegu twojej odwagi i nieprzebytej rozłąki
na brzegu pięknej stromizny zgody na rozłąkę
na wysokim brzegu ostatniej pierwszej miłości
na ostrzu najbardziej karkołomnych myśli

Kocham Cię

luty 1972

BEZSENNOŚĆ II

Basi Sadowskiej

Znów rozogniona bezsenność
i pulsujące serce
Uparte słowa otwierają do krwi
do wszystkich możliwości niespełnień
do myśli o jedynym niemożliwym wyjściu
Oddam Wam tę bezsenność
i białe noce coraz ciemniejsze
i zbyt bolesną jawę we śnie
stromy godziny i podróże w Znane
Otworzę sobie żyły
słowem gestem milczeniem brzytwą
Zrobicie z tym co chcecie
tylko nie zasypiajcie w ciasnej skórze ciała
w ciasnej skórze jednotwarzowego tłumu
zagubionego w tłumie bez twarzy
w pancerzu codzienności przynoszącej rozgrzeszenie
w nędzy zbyt słusznych usprawiedliwień

Podkładałam ogień pod wczorajszy i dzisiejszy dzień
próbuję rozproszyc tę noc bezsennością
by czymś obdarować dzień który nadejdzie
próbuję myśli i wiersz wymierzyć w przyszłość
w imię tego co nie przyjdzie samo

BEZSENNOŚĆ III

Ryszardowi Krynickiemu

Na kolejnym dworcu dobrowolnego zesłania
czekała na mnie wyostrzona bezsenność
Nie przychodziły i nie odchodziły żadne pociągi
spóźniał się jedynie towarowy z raję
Od ostatniego wytchnienia przeciętego nagle
i jak zwykle świadomie
dzieliło mnie 300 kilometrów decyzji
Otwarte najważniejsze sprawy znów podchodziły do gardła
Pamięć podjęła ryzyko
zjawili się przyjaciele zagubieni w kilku listach
kobieta mówiąca: dobrze że jesteś
Na kolejnym dworcu dobrowolnego zesłania
na jednym z wielu peronów bezsenności
czekam na swój następny pociąg
odjeżdżający zawsze na tę samą
bezludną wyspę nadświadomości

Kassandra dworcowa zapowiedziała odejście
zbyt pośpiesznego pociągu

LINIA ŻYCIA

Nic zwyczajnego się nie zdarzy
Czeka cię podróż z której nie powrócisz
Linia życia w twojej dłoni urywa się nagle
lecz nie będzie ci dane otworzyć żyły w wannie
strzaskać się o skały albo wpaść pod tramwaj
Nie doczekasz pięknego i gwarne go dnia
gdy zmywać będą barwy z sztandarów i z ciał
Możesz tylko o nim przeczytać w złej pieśni
do której sięgasz gdy nie możesz zasnąć
Narzucasz koc na ramiona Wstajesz Parzysz herbatę
Czytasz słowo o Szeli lub piszesz list „Do wszystkich. . .”
Jak sprząty w twoim pokoju chorujesz na samotność
i w ciszy słyszysz głosy zgubione na ulicy
Pamiętaj o tym że jutro zostanie skazany Dreyfus
Giordano Bruno na rynku w środku miasta spłonie
Borowski gaz otworzy Wystrzeli Aurora
Artur Ui którego znałeś od dziecka do wczoraj
wygłosi przemówienie przed nocą długich noży
Nic zwyczajnego się nie zdarzy
Czeka cię podróż z której nie powrócisz
Linia życia w twojej dłoni urywa się nagle
Bądź spokojny Powiedz prawdę
Dopóki jesteś jeszcze w kręgu światła
Pożegnaj bliskich Opanuj drżenie rąk
Napisz list do dziewczyny o dziesięciu dniach
które wstrząsnęły waszym światem



Niech zmęczenie ogarnie wszystkie nasze drogi
Smugą deszczu przejdzie po gorących twarzach

Kojącą muzyką zagra nieznuzonym
a szczęśliwym przyniesie ulgę wątpliwości

I niech sen ogarnie wszystkie nasze noce
Dobrodziejstwa zatopi w rzece zapomnienia

Niech będzie bardziej gorzki od piołunu piołun
Miłość niech będzie bezdomna i niema

Wolność niech będzie nadal niebezpieczna
Prawda daleka i obecna ziemia

SEZON W PIEKLE

Na wszystkich dworcach świata na których nie byłem
(brak pieniędzy paszportu i tylu innych rzeczy)
na szczytach wszystkich gór których nie zdobyłem
w buddyzmie zen
szukałem sposobów wyzwolenia
Kiedy dzień był zbyt wielki by się w nim odnaleźć
kiedy noc obdarzała jedynie bogactwem bólu
ściskałem ręce tych którzy jeszcze nie sprzedali swych rąk
których usta i oczy pozostały spragnione
Po ostatnim sezonie w górach
postanowiłem spędzić sezon w piekle
Usiłuję bezskutecznie poprawić swój nieudany życiorys
niecenzuralny ze względu
na słowo bezdomność słowo wygnaniec słowo wolny
i wyrażenie frazeologiczne wewnętrzna emigracja
W sferze obyczajowości obowiązuje większa tolerancja
nie muszę więc ukrywać na dnie oka
wszystkich kobiet które były zegarami słonecznymi
Po ostatniej została mi szpilka do włosów
Obawiała się że mnie pokocha
Nie będę ukrywał mojego cierpienia
Cierpię na niedorozwój uczuć
słabą wolę potrzebę silnych wrażeń
nieumiejętność żmudnej pracy bez perspektywy
natychmiastowej satysfakcji

Cechy te dają w sumie skłonność do anarchii
narkomanii i alkoholizmu
Jedną piątą życia będę czekał na mieszkanie
jeśli uda mi się przeżyć to najsmutniejsze popołudnie
Otworzę sobie telewizor w samą porę
aby zobaczyć jeszcze wyścig zbrojeń
wyścig pokoju a także moment uroczystej dekoracji orderem

*
**

Pamiętnego zimowego popołudnia Oddzielony murem Bezsilny
patrzyłem na agonię słów umierających w milczeniu
NIE stanęło przed plutonem egzekucyjnym bez opaski na oczach
PRAWDA długo żegnała się ze SPRAWIEDLIWOŚCIĄ
MIŁOŚĆ starała się cokolwiek zrozumieć
WSZYSTKIE WIELKIE SŁOWA
przekazywane nam przez kolejne pokolenia rewolucjonistów
czekały na swoją kolej
Jedynie TAK stało z boku uśmiechając się triumfująco
Odczułem pierwszy paroksyzm bólu
i zachwianie czynności układu oddechowego

Kiedy odzyskałem przytomność było już po egzekucji
musałem napić się wody która zmieniła się w wino
na następnych kilka wieczorów
Dzień nie przynosił żadnej ulgi a po kolejnej bezsennej nocy
(motyw bezsennej nocy będzie się odtąd powtarzał)
nowy paroksyzm bólu i brak powietrza
były znakiem że wkroczyłem w swoje jedyne życie
w którym nie będę już bezradnie patrzył
na agonię słów umierających w milczeniu

W POŁOWIE ŻYCIA

W obcym mieście W pokoju hotelowym o dwóch wyjściach
przez drzwi na schody i przez balkon na jezdnię
W pokoju hotelowym ze śladami pobytu
referentów aktorów ministrów i rolników
W pokoju pamiętającym defloracje i spiski
miłosne szepty ważne sprawy i kaszel gruźlików
W obcym mieście Zbudzony w środku nocy
w pokoju hotelowym o dwóch wyjściach Śmiertelnie zmęczony
bo nie wypadało zawracać w połowie snu
i jak zalecał poeta trzeba było dośnić do końca
bo rzeczywistość była złym snem w środku nocy
wszystkie niepokoje którymi żyłem i dzięki którym żyłem
które trzymały mnie w szponach uszczęśliwiały rzadkim

[rozbłyskiem

wracały w ciągu tej nocy w ciągu wszystkich godzin
ostrych jak brzytwa o których nie zdąży opowiedzieć
Widziałem zakrwawione ręce ludzi o czystych rękach
i innych ludzi dźwigających ołów w sercu
Bohaterowie byli naprawdę zmęczeni lub nie było bohaterów
Prometeuszowi przeszczepiano wątrobę
Radio nadawało komunikat specjalny
Kobieta z którą widywałem się najczęściej na dworcach
całowała mnie w kilku listach na zapomnienie
Ci którzy mieli kłopoty z zaaklimatyzowaniem się w codzienności
wrażliwi i nieprzystosowani

(wojsko by się przydało wojsko by wychowało)
nadal próbowali ruszyć z posad bryłę kamiennego świata
Na ulicach polewaczki zmywały krew z bruków i domów
a prorocy biblijni śpiewali piosenkę o następnym pożarze
Większość ludzi trwała w oczekiwaniu na poranne gazety
by dowiedzieć się nareszcie o ruchach wojsk w Wietnamie
zamieszkach w Belfaście podróżyach mężów stanu
Bezrobotna sztuka jak w znanym aforyzmie
została zaangażowana przez kilka instytucji
Można było się buntować Oczywiście w rozsądnych granicach
Ze ściśniętym gardłem ze świadomością szaleństwa
spokojnie pozwalałem pochłonąć się historii

W połowie życia W tym mieście bez imienia
(bo imię jest nieważne dla wygnańca)
gdy wszystko trzeba było przeżyć raz jeszcze
ale bez możliwości wprowadzenia korekty
gdy świadomość była rodzajem wymyślnej tortury
wkraczałem — jak chciał poeta — w erę wyzwolonego ognia
W tej jednej chwili gdy popsuły się zegary
uniemożliwiając tym samym posuwanie się naprzód
gdy widziano gromady ptaków ukrzyżowane na niebie
gdy zmęczenie ogarnęło wszystkie nasze drogi
w tej chwili wkraczałem w erę wyzwolonego ognia

W obcym mieście W pokoju hotelowym o dwóch wyjściach
przez drzwi na schody i przez balkon na jezdnię
wszystkie niepokoje którymi żyłem i dzięki którym żyłem
wracały w ciągu tej nocy w ciągu wszystkich godzin
ostrzych jak brzytwa o których nie zdązę opowiedzieć
Widziałem siebie maszerującego w nieustających pochodach
czołgającego się bo nie wypada zawracać w połowie życia
gdy światła przyszłości były dalekie jak latarnie morskie
gdy żyliśmy ciągle zamknięci w jednym dniu
w tym dniu bez okien i bez drzwi w którym zbyt wiele się
[zdarzyło

gdy dookoła w oczach ludzkich płonęły stosy
a od jednego spojrzenia mogły zająć się domy
gdy na jezdniach umierały bezbronne tramwaje
brocząc krwią i dysząc jak ranne zwierzęta

gdy krew ludzka zmieszała się z krwią kamieni
które do końca nie chciały przelewać niczyjej krwi
Kiedy wszystkie godziny były przeciwko nam
w każdej z nich zmuszeni byliśmy wybierać
miłość lub nienawiść bezsenność lub sen
pancerz codzienności lub codzienność krat
nasze życie lub inne niemożliwe wyjście

Pamiętnej strasznej zimy i bezsennej wiosny
kiedy nie można było pójść w przyszłość lub wrócić
i nie można było czekać w tym samym dniu
gdy trzeba było wolnej myśli by zrodziła się wolność
gdy trzeba było wolności aby zrodziła się myśl
gdy rzeczywistość była pusta choć nieprzenikniona
i mogliśmy żyć jedynie w republice myśli
na tym przyładku dobrej albo złej nadziei
chcieliśmy stwarzać życie na podobieństwo wierszy
powtarzaliśmy że każdy mur jest bramą
tak długo aż wiara stała się doskonałą
Matki płaczem witały każde nasze wyjście
Zwiększyła się liczba poronień i nawróceń
ludzie zmieniali religie gdy zawodzili bogowie
Pamiętnej strasznej zimy i bezsennej wiosny
kiedy świadomość przestała czynić nas tchórzami
czytywaliśmy Hegla i listy romantyków
rozmawialiśmy z Maratem Mochnackim i Marksem
zajmowaliśmy się tylko tym co być powinno

W połowie życia W tym mieście bez imienia
(Warszawa miasto portowe którekolwiek z miast)
wybieraliśmy perspektywę nieustannego wyboru
na przekór naszym kobietom pokusom i rozsądkowi
Kiedy opanowaliśmy to jedyne nieposłuszne życie
miasto było gotowe na przyjście starego dnia
W oknach zakładu pogrzebowego plakaty zapraszały
wszystkich do urn — dziewiętnastego marca

1972

EMIGRACJA

Śpieszyłem się bardzo żeby zdążyć na statek pijany
który odchodził z dworca wschodniego o godzinie 6⁴⁰
Walizka była spakowana Potrzebowałem tylko trochę książek
jak każdy zwykły choć myślący człowiek

Po zanegowaniu związków przyczynowo-skutkowych
rewolucji w sferze świadomości oraz piękna i szczęścia
(patrz księgi Sankhja: ten kto potrafi rozróżnić
uważa ludzkie szczęście za rodzaj cierpienia)
nic mnie nie łączyło z tym miastem

Na moje pytanie jak daleko stąd do Indii
milicjant odpowiedział twierdząco
a przede wszystkim zgłosił poważne pretensje
o to że przestałem pisać wiersze
pozbawiając go tym samym życia wewnętrznego

Na ulicy tramwaje jazgotały radośnie
Syzyf toczył swój kamień Rozwożono mleko
Na pozór wszystko wyglądało normalnie

My jak zresztą wszyscy zwyczajni niewolnicy
nie przekraczający ładu ustalonych porządków
mający za sobą dwudziestowiekowe doświadczenia
udawaliśmy że nic się nie stało

i czekaliśmy na przyście nowych barbarzyńców

Wczorajszego wieczoru wyrokiem sumienia
odebrałem sobie prawo do wewnętrznej emigracji
Nie bez wysiłku zamknąłem za sobą ciężkie drzwi
jedynego niemożliwego wyjścia
Próbowałem zająć się czymś zwyczajnym i na początek
starłem ślady krwi z kilkuset zabitych książek
Tradycyjne metody przewycięzania poczucia osamotnienia
znane mi z lektury Fromma i praktyki życia
tym razem nie zdały egzaminu (jak zresztą przewidywałem)
Zacząłem czytać rozkład jazdy niepewny
czy zwracać uwagę na przyjazdy czy na odjazdy pociągów

Zdarzyło się to wszystko jednego zimowego wieczoru
gdy bezradność słów zajrzała mi prawdą w oczy

Teraz śpieszyłem się żeby zdążyć na statek pijany
który odchodził z dworca wschodniego o godzinie 6⁴⁰
choć wiedziałem że nie ma już żadnych statków pijanych
że pewne podróże są jak zawsze niemożliwe

Podróż od kresu nocy i milczenia miała smak krwi
a jednak z kątów wyłaziła ciągle nędza codzienności
Nadal nie mogłem zrozumieć chociaż wiele wiedziałem
Torturowane pióro uparcie odmawiało zeznań

Wreszcie buchnęło światło Z otwartych żył

SPIS UTWORÓW

<i>Słowo wstępne</i> Feliksa Niedolskiego	7
<i>Poeci na ulicy</i> — przekład z francuskiego Wiktora Woroszyńskiego	13
<i>Elegia</i>	15

SZKICE Z ARKADII

<i>Arkadia</i>	19
<i>Mandelsztam</i>	21
<i>Wygnańcy</i>	23
<i>Dopóki są te stosy...</i>	24
<i>Platon</i>	25
<i>Mieszkaniec białych nocy</i>	26
<i>Do młodego poety współczesnego</i>	27
<i>Cukiernica</i>	28
<i>Szachy</i>	29
<i>Pegaz</i>	30
<i>Świnia</i>	31
<i>Tramwaje</i>	32
<i>Lampy</i>	33
<i>Rzecz</i>	34
<i>Piec</i>	35
<i>Czytelnik</i>	36
<i>Robotnik</i>	37
<i>Zegar</i>	38
<i>Bezsennaść I</i>	39

<i>Choroby społeczne</i>	42
<i>Nowotwór</i>	43
<i>Przychodzą po mnie</i>	44
<i>Święto Wiosny</i>	46
<i>Święta Bożego Narodzenia</i>	47
<i>W a m!</i>	49

Z PODRÓŻY W NIEOBECNE

<i>Pociąg</i>	53
<i>Byłem</i>	59
<i>** (Pasażer wielu dworców...)</i>	60
<i>Bezsennność II</i>	61
<i>Bezsennność III</i>	63
<i>Linia życia</i>	64
<i>** (Niech zmęczenie ogarnie...)</i>	65
<i>Sezon w piekle</i>	66
<i>** (Pamiętnego zimowego popołudnia...)</i>	68
<i>W połowie życia</i>	69
<i>Emigracja</i>	72



TOMIKI POEZJI
W BIBLIOTECE « KULTURY »

- BIEŃKOWSKA, Danuta Irena: *Pieśń suchego języka* (F.9,00; Dol. 2,00)
- BRONIEWSKI, Władysław: *Wiersze* (wyczerpane)
- BUSZA, Andrzej: *Znaki wodne* (F. 7,00; Dol. 1,75)
- CZAYKOWSKI, Bogdan: *Point-no-point* (F. 10,00; Dol. 2,25)
- CZERNIAWSKI, Adam: *Sen — Cytadela — Gaj* (wyczerpane)
- CZERNIAWSKI, Adam: *Topografia wnętrza* (wyczerpane)
- IWANIUK, Waław: *Ciemny czas* (F. 8,00; Dol. 2,00)
- IWANIUK, Waław: *Milczenia 1949-1959* (wyczerpane)
- IWANIUK, Waław: *Wybór wierszy* (F. 7,50; Dol. 1,75)
- ŁAWRYNENKO, Jurij: *Rozstriliane widrodzenia*. Antologia w języku ukraińskim (wyczerpane)
- ŁOBODOWSKI, Józef: *Złota Hramota* (F. 9,00; Dol. 2,00)
- ŁOBODOWSKI, Józef: *Pieśń o Ukrainie* (wyczerpane)
- MIAZEK, Bonifacy: *Ziemia otwarta* (wyczerpane)
- MIŁOSZ, Czesław: *Gucio zaczarowany* (wyczerpane)
- MIŁOSZ, Czesław: *Król Popiel i inne wiersze* (wyczerpane)
- MIŁOSZ, Czesław: *Miasto bez imienia* (F. 9,00; Dol. 2,00)
- MIŁOSZ, Czesław: *Światło dzienne* (wyczerpane)
- MIŁOSZ, Czesław: *Traktat poetycki* (wyczerpane)
- MIŁOSZ, Czesław: *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada* (F. 15,00; Dol. 3,50)
- PIETRKIEWICZ, Jerzy: *Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne* (F. 13,50; Dol. 3,00)
- SZPOTAŃSKI, Janusz: *Satyra podziemna* (wyczerpane)
- WIERZYŃSKI, Kazimierz: *Czarny polonez* (wyczerpane)
- WIERZYŃSKI, Kazimierz: *Kufer na plecach* (wyczerpane)
- WIERZYŃSKI, Kazimierz: *Sen mara* (F. 11,00; Dol. 2,50)
- WIERZYŃSKI, Kazimierz: *Tkanka ziemi* (wyczerpane)
- WINCZAKIEWICZ, Jan: *Izrael w poezji polskiej*. Antologia (F. 18,00; Dol. 5,00).

ACHÈVE D'IMPRIMER
LE 20 SEPTEMBRE 1974
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)
Dépôt légal : 3^e trim. 1974
Imprimé en France.

Odkwaszone

19-09-2008

wyd

17 x 24

F. 12 (dol. 2,50)